

Istota protestu lekarzy weterynarii.

Obniżenia stawek za czynności weterynaryjne wykonywane na zlecenie PLW (Powiatowego Lekarza Weterynarii), w tym również za wystawianie świadectw, było tylko iskrą, która spowodowała wybuch protestu. Od wielu lat środowisko lekarzy weterynarii dostrzega ułomność systemu nadzoru państwa nad tak dużą i ważną dziedziną gospodarki, jaką jest produkcja żywności pochodzenia zwierzęcego i zwalczanie chorób zwierząt przenoszonych na ludzi. Ciągłe rozmontowywanie tego nadzoru doprowadziło do sytuacji grożącej załamaniem systemu. Przykładów jest wiele.

Teoretycznie istnieje nadzór nad spędami zwierząt tylko, że takich spędów jest niewiele, a większość obrotu odbywa się na targowiskach i spędach nie zarejestrowanych i w związku z tym nie nadzorowanych. Przykładem jest województwo wielkopolskie, gdzie po wynikach kontroli UE masowo likwiduje się spędy nie spełniające wymogów, ale tylko na papierze. One nadal istnieją, gdyż nie ma innej infrastruktury do sprzedaży zwierząt. Dla umożliwienia działalności takich nielegalnych spędów wprowadzono przepis zezwalający na skup bezpośrednio z gospodarstwa bez wymogu wystawienia świadectwa (dotyczy wszystkich zwierząt i obowiązuje od kilku lat) i skupujący zawsze może stwierdzić, że właśnie tak dokonał zakupu zwierząt. W związku z czym lekarz w rzeźni nie ma prawa domagać się od przewoźnika żadnych dokumentów, jak w przypadku, gdyby przywiózł te zwierzęta z nadzorowanego spędu.

Podobnie wygląda sprawa handlu na targowiskach miejskich. W chwili, gdy świadectwa zdrowia na targowiska stały się obowiązkowe to gminy zamiast przystosować targowiska zakazały na nich handlu zwierzętami, ale nie egzekwują tego zakazu. A świadectw na coś, co nie istnieje się nie wystawia. Dokładnie tak wygląda wystawianie wciąż obowiązujących świadectw dla świń przeznaczonych do dalszej hodowli. Nikt nigdzie ich nie egzekwuje. W trakcie ich obowiązywania wystawiono je w śladowej ilości, średnio 50 szt./ rok/ powiat. A obrót prosiętami jest prowadzony na wielką skalę. ARIMR nie panuje nad obrotem świniami. Normalne jest rejestrowanie sprzedaży świń z gospodarstwa, bo to rzeźnie zgłaszają ten fakt, bez wcześniejszej rejestracji urodzeń lub kupna, czego powinni dokonać rolnicy. Wg danych agencji rolnik sprzedał 100 szt. Ale urodziło się u niego (bądź zakupił) tylko 20. Podobna jest sytuacja, gdy rolnik wg danych IW ma lochy i prosięta, a nie wykazuje sprzedaży prosiąt lub tuczników. "Prostując" kartotekę zgłasza ubój na potrzeby własnego gospodarstwa domowego. Jak najbardziej zgodny z prawem. I nikogo nie dziwi, że zjada 20-50 tuczników rocznie. Pewnie ma dużą rodzinę.

Nadzór nad ubojem zwierząt i produkcją mięsa nie wygląda wcale lepiej. Lekarz weterynarii otrzymuje wynagrodzenie za godzinę nadzoru, ale tylko teoretycznie, gdyż jego wynagrodzenie jest uzależnione od opłaty, jaką wniesie rzeźnia (stanowi nie więcej niż 93% opłaty), a ta płaci od ubitych zwierząt. W praktyce wygląda to następująco: lekarz przychodzi do pracy, stwierdza niezgodności ,np: niedziałające sterylizatory, brud, nie dopełnione procedury, brak dokumentacji, chore zwierzęta i nie dopuszcza lub wstrzymuje ubój. Wykonał swoją pracę, zadbał o bezpieczeństwo konsumenta i ...nic nie zarobił, gdyż nie było uboju, w związku z czym opłata wynosi zero zł, a nawet 93% od zera to ciągle zero. System wynagradzania jest tak zbudowany by lekarz był istotnie zainteresowany tym, aby ubój się odbył niezależnie od tego, w jakich warunkach. I tylko jego sumienie i odpowiedzialność jaką ponosi w przypadku zatrucia gwarantują to, że polska żywność jest jak dotąd bezpieczna. A trzeba dodać, że z roku na rok lekarze są obarczani coraz większą odpowiedzialnością, a ich zarobki relatywnie maleją i mechanizmy ich ograniczające są co raz silniejsze.

Tak samo jest w przypadku nadzoru nad produkcją wyrobów mięsnych. Opłata podmiotu to 6 zł/t

przerabianego mięsa. Tylko w olbrzymich zakładach przerób to kilka lub kilkanaście ton/h. W olbrzymiej większości tonę mięsa przerabia się w ciągu jednej lub dwóch godzin. Tak więc lekarz zarabia od 3 do 6 zł/h brutto. Czy ktoś sądzi, że gdyby nie ogromna odpowiedzialność lekarza to nadzór za takie stawki może być skuteczny?

W ostatnim czasie nabrały tempa prace, mające zdemontować IW (Inspekcję Weterynaryjną). Dotychczasowa Inspekcja wykonuje 80% zadań związanych z bezpieczeństwem żywności i zatrudnia przede wszystkim lekarzy weterynarii, bo tylko oni mają odpowiednie kwalifikacje i tylko ich podpisy są honorowane na świecie. W projektowanej Inspekcji Bezpieczeństwa Żywności i Weterynarii lekarzy weterynarii zastępuje się innymi zawodami. W tej inspekcji tworzy się stanowiska dla znajomych członków ekip w danej chwili będących u władzy, a ponieważ rzadko kiedy mają oni tytuł lekarza weterynarii to ten wymóg się usuwa. W chwili obecnej by być Głównym, Wojewódzkim czy Powiatowym lekarzem weterynarii należy mieć jedną z dwóch specjalizacji. Specjalizację zdobywa się na studiach podyplomowych, zdaje się egzamin państwowy, kosztuje to dużo wysiłku i pieniędzy, ale w zamian podnosi kwalifikację. I obecnie tak wysokie kwalifikacje nie są potrzebne by piastować stanowiska w nowej inspekcji. Więc czym jest ta reforma, jeśli nie likwidacją profesjonalnego nadzoru i zapewnieniem posad nie merytorycznym, pozbawionym kwalifikacji znajomym, którzy będą się zmieniać po każdym wyborach? A czym jest planowanie wprowadzenia w rzeźniach nadzoru właścicielskiego, prowadzonego przez "ogłądaczy" po kilkutygodniowym kursie przygotowawczym, będących na etacie rzeźni i zastąpienie nimi lekarzy weterynarii często mających specjalizacje z zakresu higieny zwierząt rzeźnych, jak nie dalszym etapem likwidacji nadzoru nad tym, co jemy. Również cały system wynagradzania lekarzy jest z samego założenia kryminogenny. Tak niskie stawki plus pisma GLW i apele ministra, by wszelkie czynności wykonywać "przy okazji" wymuszają na lekarzach przyzywanie oka na nieprawidłowości. Przykładem jest wcześniej opisana sytuacja w nadzorze nad rzeźniami, ale też wystawianie świadectw jest obarczone tą wadą. Gdyby lekarz miał ściśle zastosować się do przepisów to jest w stanie dziennie wystawić tylko 10 świadectw, za co dostanie 100 zł brutto. Jak za tę kwotę utrzymać ZLZ? I tu dochodzimy do kolejnego kuriozum. Aby PLW mógł wyznaczyć do czynności lekarza prywatnej praktyki, który tym samym staje się urzędowym lekarzem weterynarii wymaga od niego posiadania zakładu leczniczego dla zwierząt (ZLZ) lub innej działalności bądź innego zatrudnienia i samodzielnego opłacenia składek ZUS. Gdy lekarz wykonuje np. badania w kierunku gruźlicy byłaby to Powiatowy Lekarz Weterynarii (PLW) kontroluje, czy jego ZLZ spełnia następujące wymogi: ma w odpowiedniej ilości sprawny sprzęt do wykonania czynności, do przechowywania potrzebnych biopreparatów, do sterylizacji sprzętu, do transportu sprzętu w warunkach sterylnych, do magazynowania odpadów weterynaryjnych i umowę na ich utylizację. I tak jest przy każdej monitorowanej chorobie. Wykonując monitoring lekarz ma prawo do skorzystania z koniecznej pomocy osoby do poskramiania zwierząt i PLW zawiera z taką osobą umowę zlecenie i za tę pomoc płaci. I znów jest to tylko teoria. Pomocnik musi mieć w innym zakładzie pracy opłacony ZUS, w przeciwnym wypadku PLW nie podpisze z nim umowy zlecenia na wykonywanie czynności pomocniczych. Jeśli ktoś ma ZUS to już pracuje i nie ma czasu ani chęci, aby po godzinach pomagać lekarzowi za marne wynagrodzenie. Państwo płaci pomocnikowi 8 zł netto za godzinę podczas, gdy pomocnicy żądają już kwot ok. 10 - 12 zł/h. I co ma zrobić lekarz wykonujący monitoring? Jeśli znajdzie pomocnika, to brakującą kwotę dopłaca z własnej kieszeni, jeśli nie to całość płaci z własnej kieszeni. Dodatkowo tym pomocnikiem nie może być osoba o dowolnych kwalifikacjach, to musi być technik lub lekarz weterynarii. Jest co najmniej dziwne, że do tak prozaicznej czynności, jak trzymanie krowy za nos trzeba mieć kwalifikacje lekarza, ale by piastować stanowiska w projektowanej IBŻIW, już nie. Jest to kolejny dowód na to, że nowa inspekcja to etaty dla nie merytorycznych ale "swoich"

pracowników.

Lekarz weterynarii podpisuje z PLW umowę zlecenie i z niezrozumienia tego faktu biorą się mity o dużych zarobkach lekarzy urzędowych. Lekarz urzędowy nie jest etatowym pracownikiem z wszystkimi osłonami socjalnymi. Nie ma prawa do płatnego urlopu i zwolnienia chorobowego, gdy choruje sam lub jego dzieci, a w przypadku kobiet, urlopu macierzyńskiego. Jeśli takie sytuacje mają miejsce, to po prostu nie zarabia. Nie ma lepiej płatnych nadgodzin czy godzin nocnych, dni wolnych od pracy, jak sobota czy niedziela, nie ma wolnych świąt, ani żadnej rekompensaty za te dni i nadgodziny, jak w przypadku pracowników etatowych. Sam musi utrzymać swój ZLZ (lub inną działalność), który jest warunkiem koniecznym, aby otrzymać umowę zlecenie, a więc opłacić czynsz, gaz prąd wodę, odpady, artykuły biurowe, księgową i wszystko, co jest konieczne, a co nie jest kosztem i nie interesuje pracownika etatowego. Jeśli ma pracowników, to musi ich angażować do pomocy, bo jak wcześniej wykazano inny sposób jest niemal niemożliwy. I wszystko to z tych teoretycznie dużych wynagrodzeń, które po odliczeniu wymienionych kosztów stają się normalnymi przeciętnymi zarobkami. W przypadku pracowników IW, członków Korpusu Służby Cywilnej, też nie ma płatnych nadgodzin ani w zamian dni wolnych, gdyż ustawa o KSC to wyklucza. Ten problem wyraźnie się zaznaczył w trakcie zwalczania ptasiej grypy, gdy za ponadwymiarowe godziny trzeba było jakoś zapłacić, a system na to nie pozwala. Znow w sposób mniej lub bardziej udany ominięto przepisy.

Cały system wynagradzania lekarzy urzędowych, jaki zatrudniania lekarzy IW jest tak skonstruowany aby najlepszym, najłatwiejszym i nieoficjalnie preferowanym sposobem na zakończenie każdej kontroli było wystawienie protokołu z konkluzją: "wszystko zgodne z wymaganiami".

Przykład: lekarz przeprowadza monitoring chorób bydła w gospodarstwie, stwierdza brak oznakowania zwierząt, a co za tym idzie niezgodności w księdze stada. Wg procedury odstępkuje od badania i powiadamia PLW. Czyli przyjechał, wykonał część pracy, zmarnował czas i nie zarobił, bo wynagrodzenie jest od zbadanej sztuki. PLW musi przyjechać do gospodarstwa, przeprowadzić dochodzenie, zalecić działania naprawcze, przeprowadzić rekontrolę, powiadomić urzędowego lekarza weterynarii, że już może po raz kolejny przyjechać i wykonać badanie. Dla hodowcy nie ma to żadnych skutków poza papierowymi. Jak jest łatwiejsze (i nieoficjalnie preferowane przez władze) wyjście z tej sytuacji dla lekarzy? Przymknąć oko, zbadać zwierzęta, niezależnie, czy są one zarejestrowane i oznakowane, upewnić się, że są zdrowe i nie zabierać czasu sobie i koledze z Inspekcji. Przede wszystkim zaś dać spokój rolnikowi i nie zawracać mu głowy czymś tak dla niego nieistotnym, jak monitoring chorób zakaźnych zwierząt. A czym jest polecenie, by kontrole IRZ przeprowadzać w sposób łagodny, bo od ich wyniku zależą dopłaty dla rolnika, jak nie dalszą konserwacją złego systemu? Przecież w dniu kontroli było dobrze, a że za tydzień, w razie niespodziewanej powtórnej kontroli jest źle, no to się mogło zepsuć. A jeśli takie wytłumaczenie nie wystarczy, to mamy winnego, jest nim lekarz weterynarii, który posłuchał zaleceń szefa, a powinien słuchać prawa.

Od jakiegoś czasu do Inspekcji Weterynaryjnej wprowadza się ludzi z innych zawodów i już mamy pierwsze znaki, że było to błędem. Do przeprowadzenia kontroli identyfikacji i rejestracji zwierząt (IRZ) zatrudniono różnych magistrów nie lekarzy (mieli być tańsi i bardziej potulni), ale w roku obecnym w zakres kontroli IRZ wchodzi nowe obszary (B, C), które wymagają kwalifikacji lekarza weterynarii, a tych nie zatrudniono. Jak jest rozwiązanie? PLW lub jego inspektor lekarz będą podpisywać protokół z kontroli, przeprowadzonej przez osobę niekompetentną. I znow w papierach wszystko gra, a przede wszystkim, w razie kłopotów, jest winny. Podpisany z imienia, nazwiska i pieczętki lekarz weterynarii.

Minister konieczność powołania nowej inspekcji w miejsce trzech dotychczasowych tłumaczy oszczędnościami. Nic bardziej mylnego.

Przez całe lata IW dokładano nowych zadań i nie widziano w tym problemu, było dobrze.

Zamiast planowanej kosztownej "reformy" i ratowania np. IHARS -u, inspekcji, która nie ma struktur terenowych, która nie istnieje nigdzie w UE i której świadectwa nie są nigdzie honorowane poza Polską, ale w której zatrudnieni są "swoi" należy zadania konieczne, a będące w gestii Inspekcji Nasiennictwa i ewentualnie IHARS, przekazać wraz z pracownikami IW. Tylko nie jak do tej pory bez pieniędzy, a ze środkami potrzebnymi na ich funkcjonowanie.

IW, która wykonuje 80 % zadań związanych z bezpieczeństwem żywnościowym państwa, zatrudnia proporcjonalnie do zadań najmniej pracowników w porównaniu do dwóch pozostałych. Jednocześnie w liczbach bezwzględnych jest ich najwięcej. Po co wypłacać odprawy pracownikom wszystkich trzech inspekcji, skoro można tylko ich niewielkiej części, z Inspekcji Nasiennictwa i IHARS. Po co ponosić koszty zmian szyldów, pieczętek itp., jak można pozostawić obecne IW. Po co procesować zmiany ustawowe w tak szerokim i trudnym zagadnieniu, jak IW. Dlaczego mamy tracić uzyskane do tej pory akredytacje laboratoriów i zaczynać tę pracę od nowa ? Te wszystkie koszty i "rewolucyjne" zmiany mają służyć tylko następującym celom: zapewnieniu posad swoim znajomym, zlikwidowaniu profesjonalnego nadzoru i zastąpienie go nadzorem fasadowym, usunięciu lekarza weterynarii z inspekcji, gdyż z racji swego wykształcenia, jest zbyt świadomy tego, co robi, a przez to mało sterowalny.

I to jest istotą obecnego protestu. Nie tylko niskie wynagrodzenie, ale przede wszystkim zły system, który doskwiera już tak, że dłużej niepodobna tego tolerować. To zagrożenie zdrowia publicznego, jakie stwarza nowa IBŻ, a także dalsze rugowanie lekarzy weterynarii z zajmowanych stanowisk, mimo że i tak sprowadzono ich już do roli listka figowego, zastępującego wstydlive sprawy polskiego rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego.